

# Kronika tygodniowa.

A jednak przekonuję się na każdym kroku, iż zajmowanie się sprawami aprowizacyjnymi ma swe uzasadnienie. Dowodem tego, choćby tylko Bułgaria, gdzie przyspieszono z tego powodu zwołanie sobrania, a car Ferdynand, choć się ze mną bynajmniej nie porozumiał i *Nowości illustrowanych* prawdopodobnie nie czytuje, właśnie sprawom aprowizacyjnym poświęcił lwią część swej mowy tronowej.

Także austriacki minister od żołądkowej amnii, czyli wyżywienia, eksceleńcy Höfer, coraz częściej w tej kwestyi zabiera głos, bo z niczem tak poważnie liczyć się nie powinno, jak z zaopatrzeniem ludności w chleb codzienny. Cóż bowiem znaczą wszystkie zwycięstwa poza granicami kraju, gdy wewnątrz grozi nam widmo głodu?

Parlament wiedeński radzi, zajmuje się różnymi sprawami, więc też i aprowizacją ludności, ale jakoś nie tak intensywnie, jakby się spodziewać należało, ze względu na jej ważność i znaczenie. Nie mógł też, wobec ogólnej biedy, pozostać w tyle wyżej wspomniany minister od spraw żywnościowych i zabrał onegdaj głos, aby stwierdzić, że jest nawet gorzej, niż przypuszczano, wobec czego należy się poważnie liczyć z wydaniem nowych zarządzeń, które umożliwiłyby „przetrzymanie“.

W Austrii, jak zaznaczył, stoi się wobec dylematu: „Rolnicy narzekają na bezwzględność rekwizycji, konsumenci z rozpaczą twierdzą, że głodują“.

A jak się zdaje i jedni i drudzy mają słuszość, zwłaszcza, jeśli się przypatrzymy dokładniej galicyjskim stosunkom.

Jak rozwiązać ten problem i jakie mogą być przyczyny tego obopólnego niezadowolenia producentów i konsumentów, oto pytanie, które sobie postawił minister. W odpowiedzi na nie stwierdził zaraz, że Austria, choć kraj nihyto przeważnie rolniczy, nigdy nie wystarczała sobie pod względem produkcji rolnej, a, jeśli się do tego doda jeszcze okoliczność, iż tegoroczne obliczenia urzędowe co do wydajności zbiorów okazały się zbyt optymistycznymi, przeto w obecnym roku gospodarczym, zaczynającym się po żniwach, a kończącym się wiosennym przednowkiem, jesteśmy bardziej, niż kiedykolwiek skazani na dowóz z zagranicy.

Dotychczas była dla nas ową ziemią obiecaną, w której stronę obracali się oczy wszystkich głodomorów i wdychały ich żołądki, Rumunia. Obecnie domagujemy się z przyspieszeniem, że dowóz stamtąd jest już zupełnie wyczerpany. Z tego źródła będzie można otrzymać najwyżej nieco kukurudzy... i to dopiero na wiosnę. Dowóz z Węgier napotyka stale na rozmaite trudności, pozostaje więc ostatecznie trzecie miejsce pomocy, to jest Niemcy.

Dowiedzieliśmy się przy tej sposobności, iż stamtąd otrzymała już Austria cztery tysiące wagonów ziemniaków, (czy przypadkiem nie galicyjskich?...), które przeznaczono dla Tyrolu, Solnogradu itd., o dalszych dostawach niema nawet mowy.

Któż więc ma się przyczynić do zaspokojenia głodu ludów, zamieszkujących kraje, reprezentowane w Radzie państwa?... Chyba jedna, jedyna Galicya, której „wyodrębnienie“ czynniki wiejskie pojmują w ten sposób, iż nie jej dać nie potrzeba, a ciągnąć stamtąd powinno się jak najwięcej. Naznaczono też Galicyi zrazu kontyngent ziemniaków, mających być dostarczonymi dla ogółu, na ośmnaście tysięcy wagonów, ale wnet się poprawiono i, ze względu, że kraj ten najbardziej ucierpiał z powodu wojny, podwyższono go na trzydzieści pięć tysięcy. Urzędowo uznano to za wymiar szczególnie niski, za specjalny przywilej, udzielony tylko w drodze najwyższej łaski.

Wspominano też, że mogłyby nam może przyjść z pomocą Turcyja i Bułgaria, nasze sojuszniczki, z góry jednak zaznaczono, że i stamtąd nic się nie wyciągnie!

Tyle mniej więcej streszczenia mowy eksceleńcy Höf-er-a, a sens moralny z tego taki, że nie można i nie powinno się spodziewać, by się stosunki zmieniły na lepsze, owszem, trzeba się nawet cieszyć, jeśli nie będzie gorzej, niż jest obecnie.

Parlament zajęła ta mowa szefa urzędu dla wyżywienia ludności, reagowało na nią nawet i Koło Polskie, a jego przedstawiciel zaznaczył, iż „Koło nie będzie dalej mówić, jak do ścian, ale wezwie ludność, by sama pomściła o sobie“. Nareszcie przecież otwierają się ludziom oczy. Posłowie dochodzą do przekonania, że rząd musi znaleźć dość powagi i siły, tak wobec swego sprzymierzeńca, który zabiera od nas, co się da, w zamian nic, albo bardzo mało dając, jak i wobec swego węgierskiego współluka, który stale odmawia dowozu, choć ma dość dla siebie, więc mógłby się podzielić z mniej mającym, zwłaszcza, że losy jego ściśle z nim są związane.

Również bardzo ważnem zagadnieniem obecnej chwili jest gruntowna a celowa przebudowa gospodarki wszelkich centrali, a w związku z tem skuteczną walka z lichwą żywnościową i handlem pokątnym. Dotychczasowy sposób wykonywania władzy przez tak zwane Urzędy dla badania cen okazał się nieodpowiednim, należy więc oglądać się za środkami zaradczymi.

Ze te urzędy nie funkcjonują tak, jak powinny, przyczyn daleko szukać nie trzeba, należy sobie tylko przypomnieć to, o czem poprzednio wspominałem, omawiając działalność różnych centrali, że sprawy tak ważne dostają się po największej części w ręce ludzi niefachowych, z czego skwapliwie korzystają gromadzące się przy ich boku stada różnego rodzaju hyen i szakali.

Przykładem, może słabym, tego systemu, jaki rozpanoszył się w sferach dostawców, czy to dla armii, czy też dla jakiej centrali, lub innej instytucji, jest przedewszystkiem prawie zupełny brak kontroli nad takim panem, który otrzymuje dokument, uprawniający go do zakupu tu i tam takich a takich artykułów dla tej lub owej instytucji, ale nikt się nawet nie spyta, czy wszystko, co na tej podstawie nabył, naturalnie po cenie minimalnej, poszło tam, dokąd iść miało?... Łatwo przecież stać się może, że część owych zakupionych artykułów powędrowała do prywatnych magazynów i nie ujrzy światła dziennego, dopóki ceny nie pójdą w górę. Znam ludzi, którzy w ten sposób pracują w pocie czoła dla dobra ogółu, nie zapominając przytem i o sobie samych, bo przecież „bliższa kuszula ciała, niż... kamizelka“.

Na tem polu więc, choćby dopiero w czwartym roku wojny, należałoby przeprowadzić gruntowną zmianę i reorganizację w duchu praktycznym, przy współudziale sił fachowych, a nie spekulantów, a jestem pewny, że obie strony wyszłyby na tem jak najlepiej. Rząd nie wydawałby tyle pieniędzy, jak dotąd, ogół nie musiałby się obchodzić bez rzeczy najniezbędniejszych. Hyeny i szakale niech zadowolnią się swą dotychczasową zdobyczą i ustąpią z pola, bo najwyższy czas dla nich, jeśli się chcą z tego „szlachetnego“ przedsiębiorstwa wycofać z honorem.

Myszę, że o aprowizacji, jak na dziś wystarczy, poruszyłem tę kwestyę tylko z tego powodu, że zajmował się nią w stosunku do Bułgarii car Ferdynand, o austriackich stosunkach mówił minister Höfer, wobec czego i kronikarz nie mógł pozostać w rezerwie i musiał w obronie Galicyi i jej mieszkańców wtrącić swe „trzy grosze“, jako iż sprawa jest i ważną i aktualną. Oby jego głos nie był głosem wołającego na pustyni, przemawia bowiem nie tylko w imieniu swojego żołądka, ale i setek tysięcy Czytelników, również głodnych i wychodzących z zasady, że, chcąc obecne sprawy do pożądanego końca doprowadzić, należy się przedewszystkiem postarać o chleb codzienny dla ogółu. Można więc zmienić zdanie owego filozofa, który rzekł, iż do prowadzenia wojny potrzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy na maksimum: „Chleba, chleba i jeszcze raz chleba!“... To zdanie nasi wielcy politycy niech sobie wezmą do serca i robią tak, by było nadal lepiej, nie gorzej.

Mowa ministra Höf-er-a nie dodała nam bynajmniej otuchy, nawołują więc kronikarze do nietracenia nadziei, że, co jest złe, to się przecież może poprawić, boć na świecie niema nic tak złego, na co nie znalazłby się środki, jeśli nie zapobiegawcze, to przynajmniej zaradcze. By je jednak znaleźć, trzeba mieć bodaj odrobinę dobrej woli i miłości bliźniego, a wyzbyć się chciwości i sobkowstwa.

Co do pieniędzy, to podobno ich u nas nie brakuje, skoro Bank austro-węgierski wybił ich kilkanaście miliardów i w całości w ruch puścił, że one jednak nie mają tej wartości co dawniej, to prawda, ale nie z tego powodu, iż papier, na którym je odbito, jest dość lichy. Przyczyny są inne, ponieważ zaś nie jestem ekonomistą z zawodu, pole do popisu w tym kierunku zostawiam fachowcom, stwierdzając jedynie, że sam obchodzę się zupełnie bez monety obiegowej, prowadząc, nauczony doświadczeniem, tylko handel zamienny. Nie wychodzę na tem ani zbyt źle, ani zbyt dobrze, w każdym razie jestem w tem miłym położeniu, że dotąd z głodu nie umarłem i sądzę, że jakoś przecież przetrzymam aż do chwili, gdy nam Anioł pokoju kiwnie różdżką oliwną... Dawniej myślałem, że w roli jego wystąpi pan Wilson, zawiodłem się jednak srodcie i nigdy mu tego nie daruję. Gdybym był obywatelem Stanów Zjednoczonych, miałby stanowczo o jeden głos mniej przy najbliższych wyborach na prezydenta.

Skoro już mowa o pieniądzu, to napomknę o owym niezwykłym zastawie, o którym wyczytałem w Kurjerku. Dzielny Portugalczyk, pan Jan de Castro, bawiąc w Indjach, a nie mogąc w inny sposób zdobyć monety, której gwałtownie potrzebował, postanowił po głębokim namyśle zastawić swój... wąs! Wzruszyło to zwłaszcza pięć nadobną, skoro ujrzała uciętą ozdobę rycerskiej postaci, naskładano też tyle pieniędzy, iż

pan Castro nie tylko opędził swe potrzeby, ale mu nawet wiele zostało, czyli, innemi mówiąc słowy, dzięki swemu wąsowi zamknął budżet nadwyżką, nie deficytem.

Gdyby coś podobnego dało się dziś przeprowadzić, wybieralibyśmy na prezydenta miasta tylko męża z potężnymi wąsami, by miał tem większy kredyt, dyrektorami banków i innych instytucji finansowych byłiby tylko sami wąsiale, a taki bezwąsny pan Wilson musiałby, jako nie przedstawiający realnej wartości, pójść w tył i zejść na drugi, albo nawet i dalszy plan.

Zupełnie zaś tego samego życzę i panu Lloydowi George'owi, za pokrzyżowanie mych planów politycznych. Choć posiada wąsy, stracił u mnie wszelki kredyt od chwili swej podróży do Paryża, gdzie poprzewracał wszystko do góry nogami i przyczynił się do obalenia dawnego gabinetu, a powołania nowego, wybitnie wojowniczo usposobionego. Ma to być niezbitym dowodem, że koalicya, pomimo klęski Włochów i rewolucyi w Rosyi, o pokoju nie myśli wcale, ale postanowiła prowadzić wojnę aż do ostatecznego zwycięstwa. Wszelkie zakusy pokojowe ma zgnieść w zarodku nowy premier francuski, pan Clemenceau, zdeklarowany antypacyfista.

W Rosyi natomiast, jeśli można wierzyć zapewnieniom pism codziennych, ma podobno brać górę prąd pokojowy, a zwolennicy Lenina, będący obecnie górą, dążą, jak słychać, do zawarcia na razie zawieszenia broni z mocarstwami centralnymi, a zaraz potem do wdrożenia kroków pokojowych. Czy tak jest jednakowoż, a jeśliby nawet tak było, czy oni długo utrzymają się u steru, powiedzieć nie można, gdyż Rosya stała się obecnie krajem niespodzianek politycznych. Niczem w kalejdoskopie zmieniają się obrazy: stary rząd robi miejsce nowemu, a byli kierownicy polityki i opinii publicznej przechodzą na emeryturę, którą pozwolono im odsiedzieć w twierdzy petropawłowskiej. W miłej zgodzie, spotkawszy się tu, oczekują przedstawiciele najrozmaitszych stronnictw swojego dalszego losu i spodziewanych dalszych towarzyszy niedoli. Obecnie miejsce Kiereńskiego zajął Lenin, kto zaś po nim nastąpi, dotąd niewiadomo. W każdym razie można zupełnie słusznie nazwać rządy obecne w Rosyi rzeczywiście tymczasowymi lub przejściowymi, gdyż członkowie ich rządzą w samej rzeczy bardzo krótko, a potem „przechodzą“ z pałacu ministerialnego do turny.

Czy następcy bolszewików będą również pokojowo usposobieni, o tem wie chyba jeden jedyny ambasador angielski, pan Buchanan, kronikarz zaś *Nowości illustrowanych* stwierdza jedynie, że w Rosyi panuje obecnie ogólne „beżołowie“, polegające na tem, iż politycy waleczą, a żołnierze politykują.

Wobec tego rodzaju sytnacyi, propozycye pokojowe, idące z nad Newy, nie powinny bynajmniej naszych pacyfistów cieszyć, tembardziej zaś nie mogą przerażać tych, którzy w rychłym ukończeniu wojny widzą swą stratę materialną. Nikt nie może przewidzieć, jaki tam w najbliższym czasie wiatr zawieje, zwłaszcza, że owym nowoczesnym Eolem, który nimi kieruje, nie jest ikt inny, jeno pan Buchanan w swej własnej osobie! Dopiero z chwilą, gdy go stamtąd przepędzą, będzie można mówić o upadku sympatyj dla koalicji na giełdzie politycznej i o ewentualnem zakończeniu wojny, w każdym razie nie zwycięstwem, gdyż z tą myślą już się dawno Rosya pożegnała.

Jak więc z tego wszystkiego widać, jaskółki pokojowe odleciały od nas na jesień, ale może wróćą bodaj na wiosnę. Tego zdania jest i stróż z kamienicy, gdzie mieszkam, znający się nie tylko na polityce, ale i meteorologii. Przekonałem się o tem z jego przewiedni, iż między jedenastym a siedemnastym listopada będziemy mieć śnieg. Śnieg ów miał wkrótce zniknąć z powierzchni ziemi, a dalsze dni listopada miały się odznaczać wilgotnością, co, jak dotąd, spełniło się co do joty. Grudzień ma być również mglisty, zimny i wilgotny. Gdy go zapytałem, skąd wie to wszystko, odpowiedział, że tak „stoi w kalendarzu“. Co się tyczy wojny, zapowiada z zupełną pewnością siebie, iż w tym roku stanowczo ona się nie skończy... „chyta na wiosnę, ale jeszcze nie wiem na pewne, bo te Moskale coś zanadto bałamuca“...

To są jego własne słowa, a nie wątpię, że mówił z przekonania, nie zaś dla interesu, o ile go bowiem poznałem, jest również, jak i ja, zdeklarowanym pacyfistą, na wojnie traci, a nie zarabia, więc cieszyłby się chyba z jej rychłego zakończenia.

Z głosami maluczkich należy się liczyć, gdyż sąd ich często bywa daleko wytrawniejszy, niż nawet tych, co to w polityce robią od samego urodzenia.

